Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 52. Poznań dnia 25. Marca. 1839.

Literatura zagraniczna.

Podróże i wyprawy wojenne księcia Maxymiliana Wirtembergskiego w Polsce, w Litwie, na Rusi i na Ukrainie.

(Dokończenie.)

Wszelako nie spoczął ani na moment. Wziął świeżego konia, i, puściwszy się za wysłanymi, dognał jednego ich oddziału o dwie mile od miasta. Odesłał ich zatem do Radomia, prócz pięćdziesiąciu ludzi, których przy sobie jako konwój zatrzymał, i z nimi dojechał szczęśliwie dwadzieścia pięć mil drogi do Rönschilda pod Uniejewem. Tam znowu dzień tylko się jeden zatrzymawszy, wziął świeżą eskortę, i pędząc tę całą przestrzeń na koniu, wrócił nazad do Radomia. Dwa dni późniéj ruszył w pochód z całem wojskiem, i po trzech dniach marszu stanął w Brzezinach. Tu przypadł znowu jeden z czterech dni roku przeznaczonych na post i nabożeństwo. Zatrzymał się król przez kilka dni, potem posunął się daléj i pod Strykowem połączył się z wojskiem Rönschilda. W tych dniach przedstawili królowi Szwedzkiemu jakiegoś Braunlina, guzikarza z Tybingi, który za proroka uchodził. Miał z królem rozmowę i wiele mu świetnych i niesłychanych rzeczy przepowiadał, ale mało król na niego zważał i jako waryata odesłał. Już się też zamysły polityczne Karola coraz bardziéj wykrywały, i żadnéj już nakoniec nie zostawiły wątpliwości, gdy raptownem pochodem zbliżył się do granicy szląskiéj, przekroczył ją, i w Steinau przez Odrę się przeprawił. Wielki padł postrach na całą Saxonią. Akta i kosztowności z Drezna do Königssteinu przewiezione zostały. Gdy każden majętniejszy chciał się ratować ucieczką, furmani za przewózkę niesłychanie zyskiwali. Przebywszy rzekę Elbę pod Meissen, stanął król szwedzki obozem w Altranstadt za Lipskiem 21. Września.

(Tu opuszczamy jako znajome, i prócz tego już za krajem uskutecznione, negocyacye między Karólem i Augustem, widzenie się dwóch monarchów, podpisanie traktatu i pochód Szwedów napowrót do Polski.)

Po ośmiu miesiącach pobytu w Saxonii (mówi nasz autor) ruszyliśmy na powrót do Polski w końcu Sierpnia r. 1707. W ostatnich dniach roku przeprawiliśmy się przez Wisłę, a w miesiącu Styczniu r. 1708 przechodziliśmy przez Mazowsze północne. Mieszkańcy tego kraju tchną duchem rozbojów. Nawet między Polakami mało kto puszcza się tą drogą ku Prussom lub ku Litwie. Uderzyło to Szwedów, gdy po opuszczonych chłopskich chatach znajdowali kosztowne futra, jakie tylko do bogatych panów należeć mogły. Ułatwia takowe rozboje położenie kraju, poprzerzynanego lasami i bagnami. Przy tym drogi tak są ciasne, że łatwo mieszkańcy z zasadzek strzelać mogą na przechodzących. Szła droga nasza na Dobrzyn, z tamtąd na Ciechanów i Prasnysz. Z tamtąd mieliśmy trzy mile bagnistego, i wielce trudnego do przebycia kraju aż do Olszaku. Jeszcze tu chłopi zbojeccy siedzieli cicho po lasach, wraz z żonami i dziećmi, mimo tak ostréj pory roku; wsi ich zaś pustkami stały. Następującego dnia, gdy w pochód ruszyliśmy, strzelali już do jucznych koni królewskich, ranili kilku ludzi, a nie podobno było żadnego z nich schwytać. Nawet tak byli zuchwali, że w głównéj kwaterze królewskiéj w Brodowalce nad rzekę Omulew wkradli się, niepostrzeżeni aż do wsi, strzelili przez okno do drabantów królewskich, i konia królewskiego zabili. Po wymaszerowaniu z téj wsi dopiero zaczęła się na dobre ta wojna chłopska. 23. Stycznia król z głównym sztabem ledwo był się jeszcze o milę posunął, aż tu chłopi ubili z za krzaków siedmiu Wołochów, którzy wraz z kwatermistrzami króla wyprzedzali, samych zaś kwatermistrzów, do odwrotu zmusili. Król przymuszony więc został wraz z swoim konwojem w małym parowie wśród lasu nocować, jeszcze bowiem całą milę bagna miał do przybycia, gdzie małym frontem idąc, wszystkich łatwo mógł stracić. Ten tak trudny do przebycia przesmyk, bardzo króla zniecierpliwił, i pobudził go do największego hazardu. Wśród nocy wziął z sobą pięćdziesięciu ludzi pieszych i naszego księcia, i przedsięwziął przy świetle księżyca chłopów

wytropić i wytępić. Musieli najprzód przebrnąć przez głębokie bagna; długo potem wśród nocy włóczyli się po lesie, ale daremnie, bo nikogo nie znaleźli i utrudzeni i przemokli wrócić się musieli na nocleg. Młody książę ledwo przy wielkim ogniu nieco się osuszył. Nazajutrz rano pokazali się znowu chłopi, i grozili, że jeśli się nie zatrzymamy i nie zapłacimy haraczu wszystkich nas powystrzelają. Spytano się ich zatem, ile chcą? Zaproponowali dziesięć talarów od każdego konia, a po niejakim targu zgodzili się na sześć. Jak tylko te otrzymali, podziękowali, ofiarowali w daninę parę kuropatw i zajęcy i przepuścili nas w tem miejscu. Ale nieco daléj znowu niechcieli przepuszczać, tylko pod warunkiem nowéj zapłaty, i dania nawet zakładników. Gdy jednak król w żaden już układ wejść nie chciał z tymi rozbojnikami, dał rozkaz przetrzebić cały las i wszystkich schwytanych wyrznąć i wystrzelać. Sam zaś ze swoim orszakiem gwałtem się przez nich przebijał. Późniéj znowu się jakiś chłop pokazał, co chciał zapłaty, ale go kulą powitano. Dostał się nakoniec król do Lipnik, chłopi zaś przed nachodzącymi Szwedami rozbiegli się po lasach i ukryli się w głębokich bagnach. Jeden z nich uciekając, cisnął coś w ogień, przy którym leżał. Szwedzi rozumiejąc, że to coś kosztownego, rzucili się w ogień, lecz jak się przerazili, gdy znaleźli dziecko, jeszcze żywe. Ciągnące za nami pułki, równie napadnione, dzielny stawiły odpór tym chłopom, i wiele ich wytracili; tych zaś, których żywcem złapali, przymuszali, aby jeden drugiego wieszał.

26go Stycznia wynurzyliśmy się nakoniec z tych niezmiernych lasów, w okolicach Kolna, miasteczka granicznego między Mazowszem i Litwą. W tym przykrym marszu wiele straciliśmy koni bardzo pięknych, świeżo nabytych w Saxonii; a dla braku ich wkrótce pontony nasze popalić musieliśmy. 6go Lutego przybył król do Grodna, gdzie spodziewał się dognać uchodzących przed nim Rossyan; ale zastał tylko ostatki ich tylnéj straży. Natarł na nich osobiście i jednego zastrzelił, drugiego szpadą przebił. Ale ledwo Szwedzi w mieście na nocleg się rozlokowali, gdy oddział lekkiéj jazdy Rossyjskiéj napadł na nich niespodzianie. Powstał zatem rozruch w mieście, przyczem nasz książę i marszałek Rönschild pędząc za nieprzyjacielem wśród ciemnéj nocy, o mało co nie wpadli w ręce Rossyan. Na szczęście postrzegli się, nim było za późno i cofnęli się ku miastu. Nazajutrz poszedł król daléj za Rossyanami na Zyrmuny, Traby, ku Smorgoniom, gdzie przybyliśmy 22go Lutego i tu niejaki czas zabawiliśmy. Jest tu miejsce sławne z założonéj tu szkoły niedźwiedzi, gdzie ich do rozmaitych sztuk wprawiają, a potem się z niemi po różnych krajach popisują.

Na początku Maja tyle jeszcze w tych stronach śniegu leżało, i takie było zimno, że wszyscyśmy siedzieli w okurzonych, ale ciepłych przynajmniéj chatach chłopskich. Jedną razą w pół Maja nastał nieznośny upał. Ta nagła zmiana powietrza ludziom i koniom wielce była szkodliwa, których wielką ponieśliśmy stratę, i psy się powściekały, a co dziwniejsza, konie nawet szału dostawały. Z Radoszkowic udaliśmy się do Mińska, a z tamtąd na Jhumen do miasteczka Berezyny nad rzeką tegoż nazwiska. Zbliżając się do tego miejsca, raniony został nasz książę od harcownika rossyjskiego w udo. Rana była niebezpieczna, i już zamyślał książę dać się zawieść do Królewca na kuracyą, ale wkrótce potem wyzdrowiał i chęć zostania z królem przeważyła. W dalszym pochodzie, nim do sił powrócił, nosiło go 24 żołnierzy, luzujących się między sobą, z których każdemu dawał książę po talarze codzień, prócz jedzenia i picia. Szedł znowu marsz przez lasy i bagna; a pomimo zniechęcenia jenerałów, i innych wojskowych, król niczém nie zrażony w swoich zamysłach, przebijał się nieustannie przez gęste zasieki, które Rossyanie przed nim stawiali. Tylna tylko ich straż nieustannie harcowała ze Szwedami, lecz po krótkiéj utarczce zawsze znikała nam z oczu. Mimo tak przykrego pochodu, siódmego dnia po odniesionéj ranie, już książę nasz mógł konia dosieść i dzielić trudy wojenne z pułkiem.

10go Lipca przybyliśmy do Hołowczyna, jest to miasteczko nad małą rzeką. Tam 14go Lipca przyjął przecię bitwę nieprzyjaciel. Przepędzili go Szwedzi z nowo usypanych szańców, zabrali działa, ale uciekającym przez gęsty las nie bardzo szkodzić mogli. W téj potyczce miał książę dziwne spotkanie. Wypada na niego officer z piechoty rossyjskiéj i w głos do niego woła po francuzku: »*Voyons si Vous êtes un brave homme!*« i strzelił do niego z pistoleta, ale chybił: książę natarł na niego i przebił szpadą. Nazajutrz poszliśmy w kierunku do Mohilowa, gdzieśmy 18go Lipca stanęli. Tu król szwedzki dał wojsku swemu wypocząć dni kilka, i obchodził jeden z czterech dni postu i nabożeństwa i nadto uczyniony dobrowolnie ślub nabożny, rocznicę dwóch zwycięztw pod Rygą i Kliszewem. Wystawił potem król mosty na Dnieprze, podczas, gdy Rossyanie ku Smoleńsku się cofali, niszcząc i pustosząc wszystko wzdłuż drogi, i zostawując odezwy do szwedzkich żołnierzy, wzywające ich do dezercyi; bo dobrze wiedzieli, że ich niedostatek trapił. Część archiwum odesłana została do Sztokolmu; listy zaś do wojskowych przychodzące tak były drogie, że porto z Królewca za najmniejsze nawet pismo pięć talarów wynosiło. 15go Sierpnia przeszło wojsko przez rzekę Dniepr, i obróciło swój marsz na

Czausy ku Czerykowi. Przebywając coraz pustszy kraj, musieli Szwedzi już sami sobie zboże żąć, młócić, mleć i chleb sobie piec, i dla tego przysposobili sobie wielką liczbę ręcznych młynów. Przybyło nam tym sposobem więcéj jeszcze uciąźliwych pociągów, a ubyło ludzi w szykach zbrojnych już i tak bardzo przerzedzonych, przez choroby, niedostatek, i utarczki codzienne. W niczém już nie było podobne to wojsko do tego, które wychodziło z Saxonii. Szedł dalej nasz pochód na Kryczew do Maładzice, trzy mile od Mścisławia. Po codziennych walkach z lekką jazdą rossyjską, pod dowodztwem jenerała Bauer, w których nasz książę prócz osobistego męztwa, dał nie raz dowody wprawy wojskowéj; posunęliśmy się na Milkowice ku Tarczynowi, gdzie się już Polska kończy, a rossyjskie państwo zaczyna; wszelako Rossyanie w tym nieustannym odwrocie równie własny kraj, jak przed tem Polskę, wszędzie za sobą pustoszyli. Ale tu zwrócił Król raptownie marsz swój ku południowi, jakeśmy się późniéj dowiedzieli dla uczynionych mu korzystnych propozycyi od Mazeppy, hetmana kozackiego. Szybkość naszego pochodu została jeszcze podwojoną; choć niedostatek coraz bardziéj czuć się dawał, po pięć i sześć mil na dzień robiliśmy, najwięcéj przebywając lasy i bagna. 3go nakoniec Października wydobyliśmy się z nich pod Niwnem na granicy księstwa Siewierskiego, uszedłszy tego dnia ośm mil drogi. Wszystko wino już było spotrzebowane w zapasach obozowych, tak, że kommunii nawet nie można było dać pułkom. Znaleźliśmy tu kraj urodzajny, wielkie i dostatnie wsie, miasta nawet dość porządne: ale te były osadzone przez Rossyan broniących przystępu; wsie zupełnie były opuszczone od mieszkańców. Zatem prócz obfitego furażu dla koni, mało znaleźliśmy żywności dla ludzi. Przez niejaki czas cieszyliśmy się jeszcze nadzieją rychłego połączenia się z nami korpusu Inflanckiego, pod dowództwem jenerała Löwenhaupta, który, wzdłuż Dźwiny postępując, wielki nam prowadził konwój żywności. Ale niestety, gdyśmy się od jego kierunku oddalili, a car rossyjski o jego się zbliżeniu dowiedział, napadł go z przemagającą siłą, i zabrał cały ten ogromny konwój. Kilka dni późniéj połączył się wprawdzie z nami jenerał Löwenhaupt, ale ze stratą wszystkich pociągów i z ledwo połową korpusu. Smutne i głuche było to wojsk szwedzkich połączenie; wszyscy byli jak powarzeni, nikt myśli swoich nie wyjawiał. Jeden tylko król szczerą, czy udaną równość umysłu zachował. Szedł dalej pochód ku Starodubowi, a mijając Nowgorod Siewierski, mocno osadzony przybyliśmy do Herki. Tu przybył do nas hetman Mazeppa, którego na nasze nieszczęście większa część kozaków była odstąpiła i który tylko w tysiąc pięćset ludzi ze Szwedami się połączył. Był to człowiek mający lat sześćdziesiąt, bystrego spojrzenia i ducha, małego wzrostu, i włos miał na głowie kołtunowaty. Wjazd jego do obozu króla odbył się bez okazałości. Przed nim nieśli śrebrną buławę, a za nim buńczuk z końskiego włosia. Król szwedzki przez kilka dni w Harce się zatrzymał i długie z Mazeppą miewał rozmowy: o stanie Ukrainy, o duchu kozaków, i co czynić wypadało; język, którego używali w tych rozmowach, był łaciński. Choć go kozacy nie umieją, Mazeppa, jako wychowany w Polsce, tak łatwo nim rozprawiał, jak każden inny Polak. Ruszyliśmy daléj 15go Listopada, już razem z Mazeppą. Przebyliśmy rzekę Desnę, po czem spieszył król dla odsieczy oblężonego od Rossyan miasta Baturyna, stolicy Mazeppy. Ale i to ważne przedsięwzięcie chybiło. Bo nimeśmy przybyli, przyszła wiadomość, że Baturyn szturmem zdobyty, wszyscy mieszkańce w pień wycięci a trzydzieści młynów zbożowych przy mieście, wzdłuż rzeki Sem, o które królowi najwięcéj chodziło, do szczętu spalone. Nie mając zatem, po co spieszyć się do Baturynia, posunął się król na Korub do Atiuszy. Tu przecięż byli pozostali mieszkańce, i wyszli na nasze spotkanie z chlebem i solą. Król daléj się jeszcze posunął i stanął obozem w Horodyscc, leżącéj już we właściwéj Ukrainie. Cały kraj ten nadzwyczajnie jest urodzajny konie tu bardzo wytrwałe: do szóstego i siódmego roku po stepach wolno pląsają, wtedy dopiero łapią je i do pracy zaprawiają. Rogate bydło i owce wszędzie bardzo spasłe. Domy mieszkańców z drzewa i nizkie. Obronne nawet miasta warownie mają tylko drewniane, otoczone prócz tego rowami i ostrokołami.

Z Horodyska poszliśmy daléj do miasteczka Rumna. Tu wydał król szwedzki manifest w łacińskim języku, dla wytłumaczenia powodu wtargnienia do Ukrainy, obiecując opiekę ludowi kozackiemu, i skruszenie twardego jarzma rossyjskiego. Ale to nie uczyniło na Ukraincach żadnego wrażenia, bo choć nie chętni rządowi rossyjskiemu, nie widzieli żadnéj pewności w opiece króla szwedzkiego.

Ostatnich dni Grudnia, w marszu ku miastu Hadziacz zaszła nas owa straszliwa i pamiętna zima. Wszystko się zatem hurmem cisnęło do miasta, a gdy do niego jedna tylko była brama, a wielka część ludzi i wozów dwa dni przed miastem pozostać musiała, takąśmy ponieśli klęskę w ludziach, jakby po najkrwawszéj bitwie. Kilka tysięcy zmarzło, inni na długo już nie zdatnymi się stali do służby. Forpoczty z końmi zamarzały. Każden dom w Hadziaczu istotnym był szpitalem. Na ławach i pod ławami wszędzie zmarzli leżeli,

ledwo można było chodzić po izbach. Wielu z przeziębienia wpadło w gorączkę i w obłąkanie, drudzy siedząc umierali.

2go Stycznia r. 1709 mimo tak nieznośnéj pory roku jeszcze król posunął się do miasta Zinkowa; bliższe zaś miasto Wieprzyce od Rossyan osadzone, wezwał do poddania się i wręcz oświadczył dowódzcy, że jeśli natychmiast nie otworzy bramę, będzie powieszony. Gdy się ten jeszcze ociągał, król kazał szurm przypuścić, i daremnie znowu nie mało ludzi utracił; bo po odbitym szturmie poddał się komendant: miasto zostało zniszczone, a król do Zinkowa powrócił. Tu nakoniec spełnione zostały naszego książęcia najgorętsze od dawnego czasu życzenia, to jest, że przy wydarzonym wakansie dał mu król szwedzki dowództwo pułku dragonów. Książę już odtąd nie przy królu, ale przy pułku swoim kwaterował. Ale już nie długo trwał ten nowy zawód księcia. Wzmocniony król ośmiu tysięcy kozakami Zaporowskiemi, obległ w Maju miasto Pułtawę; ale za zbliżeniem się cesarza Piotra, musiał od oblężenia odstąpić; a 8go Lipca do stanowczej bitwy o pół mili od tego miasta przyszło.

Pułk księcia, jako stojący na samem lewem skrzydle, pierwszy został napadnięty i otoczony od jazdy rossyjskiéj, i stracił sztandar. Aby się pomścić téj straty, rzucił się książę między najgęstsze szyki nieprzyjaciół; wyrwał kornetowi rossyjskiemu chorągiew z ręki, i tak swojéj straty powetował; prócz tego pułk jego pięć innych jeszcze sztandarów zdobył. Ale po zupełnem zniesieniu prawego skrzydła szwedzkiego, i przeparciu środka, gdy pułki lewego skrzydła coraz bardziéj od jazdy i piechoty rossyjskiéj parte były, przerzynając się przez coraz gęstsze tłumy znalazł się książe z dwoma pułkami jazdy aż o milę od placu bitwy; gdy te dwa pułki nad sto ludzi już nie liczyły, a konie ledwo chodzić mogły, skoczył książę z konia i krzyknął: »Kto kocha honor, niech walczy przy mnie piechotą!« Uszykowali się koło niego officerowie i żołnierze; ale wkrótce zewsząd od nieprzyjaciół otoczeni, poddać się musieli. Officer jeden rossyjski zapytał podpułkownika Wrangla: »Czy nie ma tu króla szwedzkiego?« — »Nie,« odpowiedział ten: »ale oto jest książę Wirtembergski!« — Rossyanie obeszli się z nim jak najuprzejmiéj, zaprowadzili go najprzód do brygadiera Gröppendorf, z tamtąd do samego cesarza. Przyjął go car łaskawie, zaprosił do swojego stołu, kazał mu wszystkie oddawać honory, wyznaczył mu namioty, konie, pojazd, wartę honorową, i w zamian straconéj szpady, własną mu ofiarował.

Podczas, gdy król szwedzki ratował się ucieczką do Turczech, książę, widząc już zakończony zawód swój wojenny, prosił cesarza, aby mu wolno było do Stutgardu, na łono familii powrócić. Zezwolił na to cesarz pod pewnemi warunkami: ale ledwo do Łubna był dojechał, w skutku poniesionych tylu trudów, wpadł w niebezpieczną chorobę. Tu go często odwiedzali książę Menżykow i cesarz. Po pięciu tygodniach, gdy mu się zdrowie trochę polepszyło, puścił się w drogę do Kijowa. Z tamtąd w towarzystwie rossyjskiego jenerała Rönne dalszą odbywając podróż, niebezpieczniejszéj doznał recydywy w Ostrogu, i ledwo się jeszcze zawlekł do Dubna. Tu nakoniec umarł 25go Września roku 1709, w 21wszym roku życia.

Literatura krajowa.

Scena z 1669 roku.

(Przez autora powieści Jadama.)

(Dokończenie.)

»Będzie temu bez mała lat 20, kiedym dzierzawami jeszcze chodził, trzymała się wioska Palcowice nad Skawą od pana Łowczego koronnego, dobry był to pan, pan Morsztyn, niech mu Bóg da królestwo niebieskie. — Jednego razu, słuchajże pani, ja na koniku sobie, a miałem walną szkapę, objeżdżałem sobie pola — dochodziły bo do saméj Skawy, patrzę, kto jedzie drogą, a droga prowadzi na Zator do Szląska. Jechało ich dziesięciu, okrom dwóch starszych sama młodzież, ale wcale porządnie ubrana, wcale dostatnie. W téj kawalkacie brał przodek, jakiś walny kawaler w kontusiku niebieskim, pod kitą w sztuce dyamentowéj przy czapce, koń dzielny, na którym rząd (niech mnie Bóg skarze) prawdziwie królewski. — Słuchajże Waspani, owoż panowie dojechali do rzeki; patrzę one paniątko na czele zamierza puścić się wpław. Jak nie krzyknę: „Stójcie!“ — usłuchali mnie i stanęli. — Panowie! rzekę, proszę o głos — nie ważcie się puszczać wpław przez Skawę, rzekę; „Któż Waszmość za jeden?“ zapytał jadący na przedzie. „A Waszmości jak piszą?“ — on na to: „Jestem Jan Kazimierz, królewicz Polski i Szwedzki“ odpowiedział. — A tom się wybrał, do sto diasków! pomyślałem, ale nic złego; oddała się czołobitność Jego królewskiéj Mości, jak się patrzy — alić teraz przypatrzywszy mu się zblizka — widziałem to na zdrowe oko, że to iście krew królewska, oblicze i postawa prawdziwie pańskie. „Jak piszą Waszmość Pana?“ królewicz do mnie. — Opowiedziawszy się po imieniu i przezwisku, rzekę: „Miłościwy Panie! dzisiaj na rzece nie ma brodu z przyczyny, że w górach zbiły wielkie deszcze — Skawa wezbrała bardzo.“ — Królewicz na to rzecze: „Kto się

w podróż morską wybiera, winien oswoić się z wodą; — Waszmości za jego przestrogę dziękuję, chociaż z niéj, nie korzystam.“ — Na to ja, Mości-Dziejku — chodziło tu o życie królewicza — nie wiele myśląc — jak dam ostrogę mojéj szkapie, zabiegłem drogę i krzykłem na całe gardło: „nie pozwalam?“ — Zdziwił się królewicz, oburzyła obecnych taka konfidencya; ja, Mości-Dziejku, niestraciłem ducha, zabieram głos i rzekę: „Miłościwy Panie! służbą i czołem ścielę się do stóp Miłościwego Pana — ale protestuję przeciwko temu — bo rzekę: *primo* — Miłościwy Pan naraża się na pewną zgubę — *pro secundo* — żem gotów, odbyć poprzednią próbę, i pokażę dopiero, żem daremnie nie straszył — Boże uchowaj!“ — To rzekłszy, jak nie dam ostrogi, — szkapa dęba a potem — w wodę; oj, strach był ze mną — była już dusza na ramieniu. Dobiłem się do brzegu ledwo żywy, ale koń poszedł — do Gdańska. Tu dopiero przekonał się królewicz, że to nie żarty i zaniechał jazdy — spotkał mnie honor — królewicz Jegomość gościł sobie w moim domu przez dobę całą, i był cale kontent z przyjęcia. — Nazajutrz woda znacznie opadła, wyprowadzono konie, — królewicz uprzejmie dziękował; — w końcu zagadał tym sensem: „Jestem nader szczęśliwy z poznania Waszmość Pana. Jego przysługę mnie wyświadczoną w pamięci chować będę — i proszę — uprzejmie proszę — dopomódz mnie, abym mógł jakim sposobem wypłacić się z długu wdzięczności za gościnność, — a więcéj jeszcze za to narażenie się na niebezpieczeństwo.“ — Ja na to odrzekłem: „Iż dzięki Bogu, mam chleba dostatek — a com zrobił,“ rzekę „to nie dla nadgrody jakiéj!“ rzekę: „Boże uchowaj!“ — Królewicz nie przestał na tém i nastawał na mnie: „Z resztą“ rzecze „zostanę dłużnikiem Waszmości — może, kiedy zdarzy się okazya, wypłacić się z długu, tymczasem“ rzecze „co słuszna — za straconego konia proszę przyjąć innego.“ — Ej Mości Dziejku, co to był za koń, niejaki Waxmann ze Smolic, 300 bitych kładł mnie na stół, jak mi Bóg miły i matka najświętsza. — Wiele roków upłynęło od tego czasu, królewicz został królem; z miejsca na miejsce gnała mnie bieda, za tym processem włóczyłem się po trybunałach, a kiedy do bram sprawiedliwości dokołatać się nie mogłem — jużem się wybierał do króla, alić nieszczęsna choroba powaliła mnie o łóżko; dwa lata przeleżałem, nie wiedząc o świecie, a potem ...... jużci i nie było o czem. Ale teraz do sto diasków, dałbym się nazwać, nie wiedzieć czem — gdybym téj okazyi omieszkał. — Niechno Jaś powróci — otoż i on. — Jużeś to, chłopcze, prędkoś mi się zwinął — dostaniesz na jabłka — teraz biorę się do supliki do króla. — Dawno się nie pisało — ręka trochę stwardniała — ale jakoś to pojdzie — tylko pani Witeska, żeby mnie tu nikt nie przeszkadzał — bardzo proszę.«

Nazajutrz — dziesiąta bije na wieży zamkowéj, pan Ancuta dotąd nie wraca. — W domu pani Witeskiéj niezwyczajne dzieją się rzeczy, — jendor się piecze na rożnie, — już i podlewa do niego smaży się w rynce; izba pełna zapachów cebuli, szafranu i imbieru. Pani Witeska jakaś nad miarę wesoła, a gdzie stanie — gdzie usiędzie — zaraz się zaduma i myśli tak, jak ten, co myśli złoto robić. Niekiedy rzuci oczyma ku oknu, snać wygląda a niecierpliwie powrotu pana Ancuty.

Nagle się zerwie i bieży ku drzwiom — zaskrzypiała zawiasa — pan Ancuta wstąpił do izby — w kontuszu od wielkiego święta, w czapce i przy karabeli, — ale czapka nie na lewem uchu, rękaw u kontusza nie zarzucony w tył, i karabela, co się stało! — ani brzękła na progu. »Bywajcie, bywajcie, cóż tam słychać? mówcież na rany Boga, mówcież! Byliście u króla?« — »Jako żywo stałem przed królem, nie przymierzając, jak przed panią Witeską, o to ....« — »Rany Boga przenajświętsze!« — »I nie chwaląc się król Jegomość przyjął suplikę do własnych rąk — i byłoby wszystko dobrze — tylko, że do diaska, jakem się dowiedział, zaszła jedna okoliczność — oto spóźniłem się troszeczka, a król pan tymczasem — abdykował — to iest, mówiąc po staremu: złożył koronę.«

»Co ja słyszę!« zawoła słuchająca, załamując ręce. — »Nie darmoć mówią: *spes alit — sed falit.* Stań się wola twoja panie! Co gorsza« dodał szlachcic, zwracając się do gospodyni swojéj: »tak to gorsza, że tu żyć trzeba dopóki się Panu Bogu będzie podobało, a Bóg świadkiem mieszek w suchotach, — ale do diaska, zapomniałem — król pan łaskaw i mojéj wysługi pamiętny — proszę się przypatrzyć —« i zesunął z palca sygnet dyamencikami obłożony: »dostałem w upominku ten pierścień; przyda się dla starca — na pogrzeb.« *)

Jadam.

---

*) Ś. p. Hr. Józef Kuropatnicki posiadał w swoim księgozbiórze we Lwowie, rękopism z dwóchset przeszło kart in folio złożony; był to dziennik Jana Markiewicza, kupca krakowskiego; zaczyna się w r. 1642., kończy na 1689. Mały wyjątek, tyczący się przyjazdu króla Jana Kaźmierza do Krakowa, tutaj czynię; więcéj o tym rękopismie znajdziesz w Pamiętniku Lwowskim r. 1816. wydawanym.

»R. 1669. die 15. Maii. Tegoż dnia król JMC. Jan Kaźmierz — jadący do Francyi — stanął w Ogrodzie Pernusowskim, a nazajutrz wiechał do miasta; para Trębaczów przed nim trąbili, JMPan Comendant Krak. przy nim, a za nim circiter sto Rajtaryi. Stanął pod Krystofory.«

»Die 17. Maji witało go miasto, albo raczej imieniem miasta JMCPanowie Raycy y PP. Przysiężnicy dawszy mu

Przegląd pism.

Pamiątki JPana Seweryna Soplicy, Cześnika Parnawskiego.

»Autor — tak pisze wydawca tych pamiątek — z rządką sztuką umiał się przenieść w przeszłość, doskonale i jak prawdziwy poeta widzi ją, słyszy, pamięta, opowiada. Są to rapsody wielkiéj epopei, któréj bohaterem dawna staroświecka kontuszowa Polska. Niechże ją nam Autor rozwinie w jak największéj liczbie podobnych powieści; niech nie zamykając się w jednéj tylko epoce, wszystkich tych dawnych i z różnego wieku Polaków Antenatów, których szanowne rysy w napół zatartych i zamierzchłych portretach tu i owdzie widzieć możemy — niech mówię, całe to mnóstwo domowych naszych nieboszczyków, tak dla nas ciekawych a między sobą podobnych, pozbiera z wysokich ścian zamków, z nizkich kościołów wiejskich, z zakrystyi, refektarzów, korytarzy i framug klasztornych, z kątów i strychów ratuszowych i trybunalskich, powyciąga nawet z grubych pajęczyn i czarnego kurzu nagrobków, nie przepomniawszy i tych, co tylko w starych sztychach heraldyków i kronikarzy mieszkają: a odświeżywszy im szaty, przetarłszy karabele, poprawiwszy wąsy i czapki, tchnie w nich na nowo wzrok, słuch i mowę, żeby pod piórem jego mogli znów popatrzeć, pogadać, pożyć podawnemu, pokrajowemu, po polsku. Niech ich rozprowadzi po ich dawnych komnatach, ich obozach, zjazdach, trybunałach, kołach szlacheckich i senatorskich, i po różnych a różnych scenach tego samego silnego życia, które oni niegdyś jak sejmik zgiełkliwy z hukiem, szczękiem i paradą, a zawsze ze czcią i wiarą odbywali — życia, na którego szczery opis nie jeden może z omdlałych i z cudzoziemczałych prawnuków krzywić się teraz będzie, jakby jaki niedołężnik, suchotnik bezsilny krzywił się i słabnął na potężny zapach staréj butelki węgrzyna żywotniego; a zrobi rzecz pamiętną i sławną, stanie się wielkim malarzem historycznym.«

Tak uważa tę rzecz wydawca. My zostawiając do przyszłych numerów pisma naszego krytykę tego dziełka, popiszemy dziś tylko z udzieleniem wyjątku z pierwszéj powieści:

Kazanie konfederackie.

Było to roku 1769. 4go Listopada w sam dzień Ś. Karola, a tak pamiętam, jakby się to działo onegdaj. Słuchaliśmy Mszy S. w kościele OO. Bernardynów w Kalwaryi; kościół był jak nabity szlachtą, któréj mnóstwo panów przewodniczyło. Siedzili w ławach X Karol Radziwiłł, wojewoda Wileński, solenizant, Pac starosta, Ziołowski marszałek jeneralny, a któż wymieni wszystkich tych panów? i na sejmach więcéj ich nie widać; oni siedzieli w ławkach, a my stali, bo nie tylko my, ale i urzędnicy nawet stali, bo do ławek nie łatwo było się docisnąć. Po mszy X. Marek, karmelita, zaintonował: Te deum laudamus, a my szlachta wtór ochoczo śpiewali, bo też było za co Panu Bogu dziękować. Po hymnie wstąpił ojciec Marek na ambonę: my wszyscy wytężyli uszów, raz że i łaknąć trzeba słowa bożego, powtóre byliśmy ciekawi, co też powie z powodu rocznicy urodzin JO. Mości Księcia Karola Radziwiłła, co był pan wielki, pobożny, dobrodziéj szlachty i filar naszéj sprawy. Przeżegnał się Ojciec Marek i tak powiedział: »Święty Jan Ewangelista mawiał: Dziateczki! kochajcie jedni drugich, a ja wam to mówię, a raczéj wymówię, że tak nie robicie. Kochamy ojczyznę, mówicie, a między sobą żyjecie w ciągłych swarach! Piękna to miłość ziemię kochać, a z ziemianami się wadzić. A wy panowie, zamiast cobyście mieli dobry przykład dawać szlachcie, to albo sami ogień niecicie, albo do gotowego drewka przykładacie. Czyż wy usadziliście się znękać cierpliwość i miłosierdzie Boże, aby inne narody nauczyć, ile to trzeba grzechów, żeby aż ojczyznę zatracić? Wy się cieszycie wygraną, a ja się smucę, bo ten dar boży będzie wam powodem do nowéj Boga obrazy; powiększy waszę pychę, waszę swawolę, waszę rozpustę! A kiedy bieda was nie poprawi, co to będzie dopiero z pomyślnością. A to co się u ciebie zrobiło na obiedzie, dzień trzeci temu, JW. Marszałku Lubelski? Jak dwóch rotmistrzów związku twojego powadziło się, kiedy zapomniawszy o Bogu z cierpkich przymówek przyszło do odgrażania się, do korda; to ty Marszałku, cobyś miał mitygować, przynajmniéj jako poczciwy gospodarz; cożeś uczynił najlepszego? Toś sobie z tego zabawkę zrobił! toś drugich panów zapraszał, ażeby byli świadkami, jak się Lubelczycy tęgo w kordy biją. Ale o co? Oto o głupstwo, aby wam Panowie czas przyjemnie schodził. Krew szlachecka dla pańskiéj zabawy niech płynie! Takto niegdyś w Rzymie bawili się pogańscy panowie, patrząc, jak szermierze się zabijają. A i ci przecie krew współobywateli swoich szanowali; bo szermierze byli to brańcy narodów Rzymowi obrzydłych. Otożto wasza wolność, wasza równość, wasza wiara. Wkrótce ja pożegnam was, powrócę do klasztoru, z którego bodajbym był nigdy nie wyszedł! a tam będę błagał Najświętszą Pannę za sobą; tak za sobą, bo same patrzanie na wasze grzechy zmazało duszę moję. To wy ją nazywacie królową? . . pięknych ona ma z was poddanych! Dziewica przeczysta i panieńskiego serca ma panować nad wszetecznikami i burdami! A więcéj nie powiem, niegodny sługa boży!«

To wyrzekłszy, zszedł z ambony, i przed wielkim ołtarzem ukląknąwszy, zaczął śpiewać: »Przed oczy twoje, panie.« Wszyscy stali jak wryci; pan Granowski tak się pocił, jakby w łaźni siedział, a przecie to był czwarty Listopad i dobry przymrozek na dworze; tak go było wstyd. A nie bez słuszności, bośmy wszyscy wiedzieli, o co rzecz. W sam dzień zaduszny zaprosił był na obiad Panów i szlachtę. Otoż między nią był pan Snarski, tęgi jeździec, nie ma co mówić i łebski w potyczce, ale zwłaszcza przy kielichu wielki kłótnik. Pan Bolesta, *Mańkutem* przezwany, lubo opodal od Snarskiego siedział, usłyszał, iż ten się odezwał: »Wiwat powiat Urzędowski! czoło województwa Lubelskiego!« a że był ziemianinem Łukowskim, markotno mu się zrobiło, i to mu wymówił. Od przymówek do wymówek. Jak zaczął ich puduszczać JW. Marszałek i JO. Książę Wojewoda, przyszło do tak grubych wyrazów, że aż zgroza było słuchać: a z tego gospodarzowi jeszcze większy śmiech. Wyszli z izby, a porwawszy się do szabel, przy nas bić się zaczęli. Urzędowczycy swego, Łukowczanie swego, a JW. Marszałek obudwóch zagrzewał. Ślicznie się oba składali; Panie Boże! przyjm to za żart, aż miło było patrzeć! Ale nakoniec silnie po łbie dostał p. Snarski; jak długi padł krwią oblany. Myśleliśmy, że już po nim, ale jakoś przyszedł do siebie, jak mu cyrulik tameczny zaczął chlebem z solą ranę okładać, a krew puszczać z ręki.

Ale wracam do swego. Ksiądz Marek śpiewał, sam jeden, bo my wszyscy tak się zadumali, że muchęby można było słyszeć, lubo nas była ćma. Ks. Marek po odśpiewaniu pieśni znowu na ambonę powrócił, co nawet starych zadziwiło, i tak mówił: »W piersi uderzyć się muszę, że w dniu urodzin twoich, JO. Książę Wojewoda Wileński, zdawalem się na chwilę o tobie zapomnieć. Twoje i twoich przodków zasługi i poświęcenie się dla kraju, warte ażebym się z tego przed obliczem was wszystkich skruszył. Dam ci więc w dniu tak dla ciebie, więcéj jeszcze dla nas uroczystym, wiązanie najdroższe, bo go nigdzie nie otrzymasz, jeno w domu Bożym, to jest prawdę; a że jako prawy Polak, gościnne i uczynne twoje serce żadnéj korzyści mieć niechce, z któréjbyś drugim udziału nie zrobił; wielce mnie przeto pochwalisz, że w téj prawdzie, w tym wiązaniu tobie ofiarowaném, inni dostojni koledzy swoję także cząstkę otrzymają. A jeżeli ciebie i kolegów twoich nie przekonam, że to co mówię jest prawdą, każdemu z was wolno mię za-

---

w podarunku lagę Wina Włoskiego y Misę Cytryn świeżych y Pomarancz. Po przemowie, którą miał krótko JMP. Frysucher R. K., śliśmy do pocałowania ręki Króla JMC.« *Przyp. aut.*

wstydzić, mieniąc mię kłamcą. Bóg często dla korzyści drugich niegodnym sługom swoim wielkie rzeczy objawia. W tym względzie doświadczyłem i ja jego łaski: oto rok siódmy temu, gdy w celi mojéj gorżko płacząc nad niedolą kraju, modliłem się, ujrzałem Anioła; widziałem go tak, jak teraz na was przytomnych patrzę. Wiele on mi rzeczy powiedział, których mi objawić nie wolno, ale to co mi się godzi, to wam powiem bez ogrodki, bo poselstwo Anioła ani szlachcica, ani pana, ani króla nawet obrazić nie może: wszak każdy jest kmieciem przed nim. »Marku, powiedział mi Anioł, źle się dzieje z ojczyzną twoją! Nierząd ją gubi. Wszyscy pragną rzędu, a żaden z poczciwych rządzić nie chce. Król, którego wszyscy kochają, a nikt mu nie pomaga, lada dzień zamieni koronę doczesną na wieczną i będzie to co teraz jest: rząd leży na ziemi, a nikt się schylić nie chce, aby go podjął. Pod różnemi postaciami do wszystkich panów udawałem się, zawsze jedna odpowiedź. Byłem u Radziwiłła, wojewody wileńskiego, mówiłem, błagałem: jedź do Warszawy! zajmij się rządem! cała Litwa twoja! ratuj kraj! . . Aż się spłakał, tak się rozczulił: ja z torbą pójdę, powiedział, a niech ojczyzna będzie cała. Ale tu nie idzie o takie ofiary z majątku, lub narażenie życia; siedź w Warszawie i zajmuj się rządem! Cóżem wycisnął: Panie kochanku, ja będę w Warszawie rządził, a mnie pan Rejtan w Nalibokach wszystkie moje niedźwiedzie wybije. Udałem się do wojewody kijowskiego. Pan obszernych włości i coby je chętnie dla ojczyzny poświęcił, ale, *uczciwszy uszy*, jakże to siedzieć w Warszawie, kiedy to człowiek przywykł z panem miecznikiem Ciesielskim pić w Szorstynie, kiedy pani Wojewodzina myśli, że mąż folwarki objeżdża. — Byłem u Marszałka Mniszcha. Nie może! kocha ojczyznę; ale *świnia bura* rządząc, nie możnaby toczyć processów, miewać konferencyów z prawnikami, a pan Mniszech wolałby nie żyć, jak się nie pieniać. A pan Wielopolski krajczy koronny kocha ojczyznę, ale *bała bała*, kiedy zasiędzie w Warszawie, któż będzie doglądał ekonomów, pilnował domowego zachodu, zabiegał. A pan Krakowski — Moja panno, piechno się obmuruję w Białymstoku, to i o ojczyznie pomyślę. A książę Sanguszko, starosta czerkaski? Mopanie, ja będę siedział w Warszawie, a moje stado w Sławucie sparszywieje. Otoż taka wasza miłość ojczyzny i t. d.

Mówił ksiądz Marek wiele jeszcze innych rzeczy. Płakaliśmy, a razem pocieszaliśmy się. Myślałem, że panowie, których wytknął, rozsierdzą się na niego. Broń Boże; owszem każdy z nich wychodzącego uprzejmie powitał i w rękę pocałował, a solenizant na obiad zaprosił, gdzie kolejnym kieliichem wszyscy panowie zdrowie księdza Marka spełniali.«

Po tém kazaniu następuje: *Pan Dzierzanowski, Pan Bielecki, Książę Radziwiłł, Panie Kochanku* (najdłuższe), nareszcie *Ksiądz Marek*. We wszystkich tych powieściach autor rznie szczerze, prawdziwie po chłopsku, w żywe oczy prawdę. Nieprzyzwyczajone do takiéj opłażnéj prawdy ucho może się nie jednem zgorszy; ale poczciwe serce zbudzie się i rozraduje ogniście. Takim sposobem przemawia tylko geniusz, który gdyby Proteusz jaki umie się w tysięczne przedzierzgnąć kształty, aby umysł czytelnika do tego, co każdemu najdroższe być powinno, do prawdziwéj miłości ludzkości i ojczyzny zachęcić. *K.*

Doniesienia literackie.

Obraz bibliograficzno-historyczny Literatury polskiéj.

P. Józef Zawadzki w Wilnie następujący ogłosił prospekt:

»Przez czas długi sami krajowcy na bogactwa literatury swojéj żadnéj prawie nie zwracali uwagi: jeżli się bowiem chyba Starowolskiego wyłączy, zaledwo około drugiéj połowy przeszłego wieku, staranniéj i czuléj około rzeczy polskich krzątać się zaczęto. Odtąd usiłowania mnożyły się coraz, aż nauki doczekały się przecie dzieła ze wszech miar ważnego i pierwszego w literaturze polskiéj, pod tytułem: »Historya Literatury Polskiéj,« przez uczonego Bentkowskiego, zalecającego się i pojęciem rzeczy jaśniejszém naukowém, i systematem, którego zgoła poprzednikom jego brakowało. Pomimo wielu zalet książki téj dobrze ustalonych i uznanych, przeczyć nie można, że wiele dzieł pierwszéj noty nie zostało w niéj pomieszczonych, nie mało też wcisnęło się do niéj błędów, które i pośpiechowi pracy przypisać się godzi, i w większém przedsięwzięciu nieraz uniknąć jest trudno; chcącemu znowu powziąć dokładniejsze historyi nauk w Polsce wyobrażenie, wiele zeń do życzenia pozostaje. Daléj, to jest od roku 1814., przybyło niemało rzeczy do dawnéj Bibliografii polskiéj w różnych pismach umieszczonych; przybyła praca wielka, usilna i naznaczona talentem, uczonego Ludwika Sobolewskiego, ze zwiedzenia i spisów poczynionych, w kilku najznaczniejszych bibliotekach, w kraju i za granicą, cała w rękopismach po nim pozostała; przybyły rzeczy ważne do historyi Prawa polskiego, znanego z prac swoich, Jana Wincentego Bandtkie; przetrząśnione niektóre biblioteki i zbiory miejscowe, zwiedzone staraniem i kosztem niżéj podpisanego biblioteki zagraniczne, Królewsko-Berlińska i Drezdeńska; wyszukane źródła i nabyte rękopisma cokolwiek ważniejszego zawierać, lub wiele interesujących szczegółów objaśnić mogące, ku największemu, ile tylko być może, uzupełnieniu całości Bibliografii polskiéj. Wreszcie nie mało też ksiąg nowych od czasu wydania dzieła Bentkowskiego na jaw wyszło, dopełnienie jéj do zamierzonego w dziele tém kresu stanowiące, o których wiadomość do składu jego weszła. Zebrać to wszystko w jednę porządną całość, osięgnąć z niéj walny pożytek dla historyi nauk całéj Słowiańszczyzny, a mianowicie polskiéj, wystawić tę ostatnią w obrazie najrzetelniejszym, wolnym od wszelkiego stronnictwa, oto jest cel niniejszego przedsięwzięcia. Zawierać ono zatém będzie: 1) Spisy dzieł wszelkich i wszelkiego języka, wydane w prowincyach dawną Polskę zajmujących; te, które przez krajowców napisane, drukowane były za granicą; te nareszcie, które przez cudzoziemców, już w Polsce, już za granicą, wydane zostały, a dotyczą wprost, albo rzeczy tego kraju, albo uczonych jego; wszystkie licząc od czasów najdawniejszych wprowadzenia druku do Polski, aż po rok 1830. włącznie, uporządkowane wedle pewnego naukowego układu; 2) Noty bibliograficzne odnoszące się do historyi ksiąg samych, autorów i okoliczności ich życia, wyjątki i miejsca ważniejsze z pism rzadszych, takie mianowicie, które rzucają światło jakie na stan nauk i literatury czasów, w których pisane były; 3) przed każdym w szczególności oddziałem, wiadomość historyczną, o stanie każdéj względnie nauki, w prowincyach byłéj Polski, z oznaczeniem tego, co w sobie właściwego, miejscowego miały, po największéj części ze spisów dzieł drukiem ogłoszonych wywiedzioną; zamknie zaś rzecz całą, ogólny rzut oka na stan i koleje nauk w dawnéj Polsce, oraz przyczyny, które różnie na nie wpływały. Dołączy się na końcu widok układu bibliograficznego w dziele przyjętego, regestr podwójny, jeden autorów i tytułów dzieł, bezimiennie, niewiadomego nazwiska, lub pod zmyślonem wydanych, drugi osób i rzeczy ważniejszych wśród dzieła lub w notach wymienionych. Przydane też będą wedle potrzeby rysunki i fac simile, niektórych rzadkości bibliograficznych. Układem i redakcyą, oraz zebraniem materyałów do części historycznéj dzieła, zajmuje się Magister Filozofii, Adjunkt przy Bibliotece Cesarskiéj Akademii Wileńskiéj, P. Adam Jocher. Wziąwszy na siebie wykonanie tego znamienitego przedsięwzięcia, niżéj podpisany nie szczędził żadnych zabiegów i usiłowań, iżby dzieło to stało się o ile być może najzupełniejszém i godnie pod wszelkiemi względami odpowiedziało celowi swojemu. Tak więc przygotowawszy wszystko do pełnego i świetnego wydania pomienionego dzieła, niżéj podpisany niepłonną cieszy się nadzieją, że starania jego dobrze zostaną przyjęte i wsparte liczną prenumeratą przez miłośników krajowéj literatury.

Obraz bibliograficzno-historyczny Literatury Polskiéj zawierać będzie 180—200 arkuszy druku.

Warunki prenumeraty: Dla ułatwienia nabycia, dzieło to wychodzić będzie poszytami z 7—8 arkuszy złożonemi; 5 poszytów złoży tom. Każdy prenumerujący płaci z góry za jeden poszyt, około 125 stronic obejmujący, zlt. pol. 4 czyli dobr. gr. 16 (1 zł. sr. reń.) Otrzymując jeden poszyt, płaci za drugi, i tak następnie aż do wyjścia całego dzieła, po czém poszyt ostatni bezpłatnie odbierze. Całe dzieło skończy się w 26—27 poszytach, jeźliby zaś co więcéj nadto wyjść miało, Panowie Prenumeratorowie osobno o tém zawiadomieni zostaną. Pierwszy poszyt wyjdzie około pierwszego Marca 1839. roku, a następne co 6 tygodni wychodzić będą. Regestr prenumeratorów, którzy się przedpłatą swoją do prędszego ukończenia tego przedsięwzięcia przyłożą, pomieszczony zostanie na czele całego dzieła. Niżéj podpisany wydawca, którego firma po większéj części już w kraju i za granicą znana, za wyjście całego dzieła i dotrzymanie warunków prenumeraty, jak najsolenniéj zaręcza.

Józef Zawadzki.«

Dołączona jest jedna karta na próbę, jaki będzie układ całego dzieła. Książki numerowane bieżącą liczbą. Krótsze uwagi mniejszym drukiem zaraz następują po dziełach; obszerniejsze dopiero niżéj w texcie tą samą liczbą, co dzieło, do którego należą, oznaczone. Ten osobliwy sposób dołączania w samym texcie uwag, zdaje nam się być niestósowny, mieszający zwyczajny porządek. Uwagi te, czyli noty daleko dogodniejsze miejsce zaraz po dziele każdém, lub też w przypisku na dole znaleść mogą. Jestto mała rzecz na pozor, ale w tak ważném i obszerném dziele najnaturalniejszy porządek, ułatwiający i przegląd i szybkie znalezienie każdego szczegółu, nie pospolitą jest zaletą. Nadto autor także od autora jakimś znakiem oddzielony być powinien.

Co się tyczy saméj rzeczy, niech nam będzie wolno uczynić nad tą próbą kilka uwag. Że wydawca książki, jak są »Poezye Horacego,« przełożone na język polski przez M. Marcina Fiałkowskiego, w Wrocławiu u Korna 1818., 2 tomy, z Raczyńskiego i Mecherzyńskiego przytacza, nie miawszy go sam w ręku, choć tak przecie łatwa do nabycia, to nie w najkorzystniejszém świetle pracę tak ważną stawićby mogło; lecz że tenże książki jaką jest np. »P. Owidyusza Nasona Metamorfozy dla użytku młodzieży,« wyszłe w samém Wilnie roku 1823., także dopiero z poznańskiego źródła cytuje, to już prawdziwie zgroza. Dzieła tak pospolite jak te, któreśmy wymienili, i których jeszcze w każdéj księgarni dostać można, winien koniecznie wydawca własnemi widzieć oczyma, aby mógł cokolwiek o ich wartości wyrzec; przytaczanie z obcych spisów tylko przy zupełnie niedostępnych miejsce mieć może. Libicki zresztą był Poznańczyk. Ponieważ dzieło to poszytami wychodzić będzie, nie omieszkamy w czasie swoim zdawać z nich sprawy czytelnikom naszym i oraz czynić uwag, mogących posłużyć do uzupełnienia bibliograficznych wiadomości lub sprostowania wkraść się mogących uchybień. Dziś nie pozostaje nam nic więcéj, jak polecić ziomkom naszym dzieło, które powinno być książką podręczną każdego o wzrost rzeczy ojczystych dbałego Polaka. Jestto narodowy testament, czyli święte przymierze łączące przeszłość z przyszłością: do niego często zazierać, w niém rozpamiętywać winniśmy.

W numerze 61. Kuryera Warszawskiego czytamy o ważném odkryciu pana L. Kuhajewskiego, podziału kąta na trzy równe części. Odkrycie to jest bardzo ważne, jeżeli p. Kuhajewski wszystkim zapowiedzianym obietnicom zadosyć uczynić zdołał: niemamy tu na myśli owego podzielenia wszelkiéj, nawet i niewiadoméj, roztwartości kąta geometrycznego na 3 równe części, wyrażenie to, którego użył w swem artykule p. Kuchajewski, mogło być bowiem wypływem uniesienia nad tak ważném i tak wiele obejmującém odkryciem; ale cieszyć nam się wypada, jeżeli już wszystkie z tego odkrycia wypływające »odnogi« do razu przez odkrycie p. Kuhajewskiego »wyczerpane« zostały. Bodajby tylko p. L. K. nie ograniczył się na rozwiązaniu zadania tego sposobem arytmetycznym, z różniczką, która prawie zawsze za zero uważana być może, który od wieków jest znanym.

P. Mirosławski, autor historyi ostatniéj wojny w Polsce w języku francuzkim, zapowiada w Paryżu wydanie kilku również w francuzkim języku napisanych romansów, jako to: *Tache de Cain* — *Le batard princier* — *le Refugié* — *le Bourreau.* — Były adwokat lwowski Ormianin z Galicyi p. Ignacy Szadbej, który obecnie bawi w Londynie, wydrukował w Paryżu dwie tragedyje w języku niemieckim: *Hannibals Tod* i *Sophonisbe.* (Wyciąg z listu.)

Znany zaszczytnie jako literat p. Stan. Jaszowski przygotował do druku poemat dydaktyczny: »Lwów, jego pomniki, okolice, piękności i zabawy.«

Niezrównany Kraszewski ciągle jest zajęty historyą Litwy za Witolda. — Pisze on też poemat »Witoluranda,« z któréj wyjątek nam przez autora łaskawie nadesłany, umieścimy w najbliższych numerach.

Strauss, autor sławnego dzieła »Das Leben Jesu,« otrzymał posadę nauczyciela teologii przy uniwersytecie w Zürich. Życzyćby należało, aby wszystkie katedry nauczycieli religii w takie ręce się dostawały.

Niemcy zwracają teraz swoję uwagę na literaturę węgierską i tak np. zapowiedziano tłómaczenie wszystkich dzieł Mikołaja Jósika. Romans jego »ostatni Batory« ma być szczególniéj zajmujący.

Uniwersytet Kijowski na rok został zawieszony.

DONIESIENIE.

Tygodnik literacki i nadal tak jak dotąd wychodzić będzie. Staraniem redakcyi być nie przestanie, aby i w tym roku odznaczał się Tygodnik między wszystkiemi innemi pismami wyborem i pięknością oryginalnych poezyi i powieści, gruntownością rozpraw naukowych, sprawiedliwą krytyką i świeżością przeglądów i doniesień literackich. — Liczbę tylu naszych tak sławnych współpracowników powiększy (jak redakcya ma niepłonną nadzieję) A. Mickiewicz, Bohdan Zalewski, Jul. Słowacki, Witwicki, Trentowski, M. Grabowski, Wojcicki i inni.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*

...str dołączone będą do Nr 3. przyszłego ... prenumerować można po ...